

PEGGY.

Czesć pamięci pastora Hopkinsa! Dzieki temu znacnemu człowiekowi poznałem Peggy. Czeladny ten „clergyman” wziął pod swoją opiekę piękną kreolek. córke Anglika i Jawajki i różnemi krętymi drogami przez Atlanty, Nowy Jork i zieloną Szkocję wyładował pewnego sierpniowego poranku we Francji, gdzie skarb skóń powierzył mojej ciotce Charlin.

Przyjęty w Tailluire, w pensjonacie, który prowadziła wówczas ta moja krewna — dziewczątka, nie znałem radości, do których miałem prawo w osiemnastym roku życia. Podkreślić należy, że za cała ciotnia robiła mi łaskę, ofiarowując mi dach rodzinny na okres ośmiu tygodni i umieszczając mnie w wąskim pokojku, przesiąkniętym stechlizną, z okienkiem wielkości tabakierki.

— W twoim wieku — mawiała często — należy być ze wszystkiego zadowolonym. Pokażesz mi, czy potrafisz być użyteczny. Mam zamiar powierzyć ci swoje prace piśmienne.

I faktycznie, zamknięty w ponurym pensjonacie, niewiele korzystałem ze świeżego powietrza, a gdy wypadkowo wstawałem od biurka, by złapać ryk słońca, straszliwa wdowa z wąsami czempredzej zapędzała mnie z powrotem do klatki.

Zamiast kuracji klimatycznej sporządzałem rachunki i rejestrowałem reklamacje w towarzystwie czarnego kota w czerwonym neżyłku.

Obok tych funkcji, praktyczna krewna moja umiała mnie jeszcze obarczyć innymi obowiązkami. Wieczorami, ubrany w odświętny swój garnitur, tańczyć musiałem bostona „z paniami”.

Smutny aż do śmierci, przy dźwiękach fortepianu meczonego przez ciotkę, tańczyłem walca z czterdziestoletnimi pannami, nadętymi Holenderkami, tłustymi Hiszpankami i suchymi Angielkami, płaskimi jak deski.

Wtem zjawila się Peggy i stał się cud... Widzę ją jeszcze, jak wyskoczyła z powozu, w błękitnym płaszczu od kurzu, pod skrzydłem opiekuńczym swego „reverend”, wyglądającego jak czarny i melancholijny konik polny. Lecz jakże tu opisać po trzydziestu latach tę piękną kreolek o palących oczach, która po krótkim czasie obdarzyła mnie łaską swego pierwszego uśmiechu!

Było to — jak pamiętam — przy stole. Jej oczy, podobne do czarnych diamentów, zaczęły się o moje, a usta jej, jak płatki róży, rozwarły się w uśmiechu. Miałem już zamiar zatańczyć z nią, lecz zmęczona długą drogą, tego wieczora wcześniej udała się na spoczynek i zobaczyłem ją dopiero nazajutrz z rana.

W tym momencie rozpoczęła się sielanka. Siedząc przy biurku, przeglądałem korespondencje, gdy spłoszyły mnie kroki gazieli. Drgnąłem, doznawszy olśnienia.

Miss Peggy Collins wniosła brwi, spostrzegłszy mnie. Była w szlafroku pomarańczowego koloru. Jak dawna znajoma oparła obnażone łokcie na biurku zagadując mnie:

— Mówi pan po angielsku?

— Nie — odrzekłem. — Nie znam tego języka.

Znalazłem się odrazu pod jej urkieniem. — nie było w tem nic dziwnego — lecz zniechęcała się ciotka.

— Robercie! — krzyknęła — chcę pomówić z toba.

Kiwnęła na mnie i zamuszony byłem pójść za nią. Skoro tylko znaleźliśmy się w jej pokoju, skrzyżowała ręce na piersiach: — przeszła mi surowym spojrzeniem.

— A to co takiego? — rzekła. — Oszałamieś, jak mi się zdaje. Czy uważasz swój dom za miejsce wątpliwej reputacji? Zabraniam ci zalecać się do tej młodej panny!

Schyliłem głowę bez protestu, lecz uległość moja była rzeczą zbyteczną, bowiem Peggy Collins, która płaciła najwyższą cenę w pensjonacie a ponadto wydawała się rozpieszczonym dzieckiem, tegoż popołudnia zaproponowała mi partje tenisa. Poradziłem się ciotki. Podkoczyla na krzesło, lecz przez wzgląd na bogatą klientkę nie sprzeciwiała się tej rozrywce.

— Zalecam ci przyzwoite zachowanie, — przypominała mnie. — Pamiętaj o tem.

Ciotka próżno lękała się o mnie, ponieważ byłem nieśmiały, straszliwie nieśmiały. Jakkolwiek miss Peggy Collins dnia tego robiła mi liczne „wawane”, już zdecydowana do flirtu ze mną, z ostrożnością zachowywałem się odpornie, trzymając się na linii obronnej. Przybył mi zresztą jeden obowiązek więcej: zabawianie tej ślicznej, młodej panny. I nie było wyłącznie winą moją, że ze zbytku gorliwości wywiązywałem się z tego zadania z entuzjazmem.

Peggy obserwowała mnie oczyma kotki, zrazu wymagając ode mnie tylko usług niewolnika. Wynajdywała dla mnie zajęcia, nie zniżając się wcale, co napędzało mnie trwogą.

Zamosiłem leżak jej na polankę. Peggy wyciągała się na nim, przymykając swoje czarne oczy. Zaokrągliwszy ręce nad głową w kształcie amfory, powierzała mi czynność odpędzania much zapomocą wianuszki świeżo zerwanych liści.

Nieco później prosiła mnie o wozenie jej łódka. Odbywaliśmy długie przejażdżki po śpiącym jeziorze. Były to godziny, których nigdy nie zapomnę. Peggy otulała mnie dziwnym uśmiechem. Pewnego dnia zapragnęła czytać z linii mojej ręki i czarującym głosem przepowiedziała mi miłość...

Była to gra drażniąca dla młodego, nie doświadczonego człowieka. Straciłem sen, myślałem się w rachunkach i jak zegar słuchałem swego serca.

— Szczęśliwy maly lotrze! — szeptała mi ciotka.

Była zdecydowana przebiegłą handlarką. Wobec tego, że otoczenie jej nie zdradzało oburzenia, a zwłaszcza Peggy była zadowolona, ciotka radowała się z „koleżeńskich stosunków”, sprzyjających jej przyziemnym interesom, nie wprowadzając jej w konflikt z własnym sumieniem.

Co do mnie, kochałem Peggy aż do bólu, lecz z całym poszanowaniem dla pensjonatu ciotki i podrzędnej roli, jaką mi w

nim wyznaczono, nie odważyłem się wyznać Peggy swego uczucia.

Pewnego dnia jednakże Peggy zaproponowała mi wycieczkę w góry.

— To niemożliwe, — oświadczyłem — ciotka się nie zgodzi.

— Chciałabym to wiedzieć, — rzekła moja młoda przyjaciółka. — Sama o tem pomówię z p. Charlin.

Wróciła po kwadransie bardzo uradowana.

— All right! — rzekła. — Stara ustąpiła, lecz zapłacić jej muszę taryfę przewodnika. Ta handlarzka mnie wykorzystać wszystkie swoje szanse.

Pod jaskrawym słońcem jej wysmarkle, brązowe ciało wydzielalo zapach, palący mi skronie. Dzwony na Anioł Pański pobliskiego kościoła przypomniły nam o śniadaniu i usiedliśmy nad brzegem strumyka. Patrzyłem na Peggy, a ona na mnie. Bez słów zbytecznych zbliżyły się nasze głowy i zwarły usta.

— Peggy! — szepnąłem — zostaniesz moją żoną!

Wzruszyła ramionami, jakby ze snu zbudzona.

— To niemożliwe, — rzekła. — Pastor Hopkins przyjdzie po mnie w niedzielę. Zresztą mam narzeczonego w Kingstown. Tej zimy wyjdę zamaż za kuzyna mego, Geralda.

— Co takiego? — zawołałem zdumiony. — I kochasz tego Geralda?

Peggy niewinnie spuściła oczy.

— Kocham go w Kingstown... A tutaj kocham tylko ciebie.

Peggy, mówiąc to, była zupełnie szczera. Kochała mnie, bezwzględnie, ale tylko prowizorycznie. Na nieszczęście ten rodzaj miłości był mi obcy. Była to częściowo córka słońca, skłonna do egzaltacji, lecz z ojca Anglika, trzeźwego człowieka interesów, który gotował jej przyszłość wspaniałą, małżeństwo bogate... I po tym ojcu ten maly potwór odziedziczył chłodny rozsądek który w porę ratował ją od zboczeń z obranej zgóry drogi...

Zapłakałem może... Już dobrze nie pamiętam... Peggy rzekła pieszczotliwie:

— „No, no!... jak mówi się do ulubionego konia i pomknęliśmy przez łąki.

Szybko przeminiły dni i ujrzałem znowu, niestety, pastora Hopkinsa. Ponownie Peggy spałkować rzeczy. Odprowadziłem ją do powozu.

— Nie martw się — pocieszała mnie. — Przysyłać ci będę pocztówki.

Daremnie czekałem na obiecane pocztówki. Wróciłem do swej klatki i przez dwa tygodnie jeszcze, w małym salonie, tańczyłem ze starymi pannami. Domyślając się mego ukrytego cierpienia, zachowywały się z wielkim taktiem. Sącząc przez słomkę białą grenadyne, którą notowałem im na rachunku po franku siedemdziesiąt pięć centymów, zaczęły te damy śpiewały chórem:

— Straciłszy swego rąskiego ptaka! Jakże urocza była ta Peggy Collins!

Tłum. L. M.



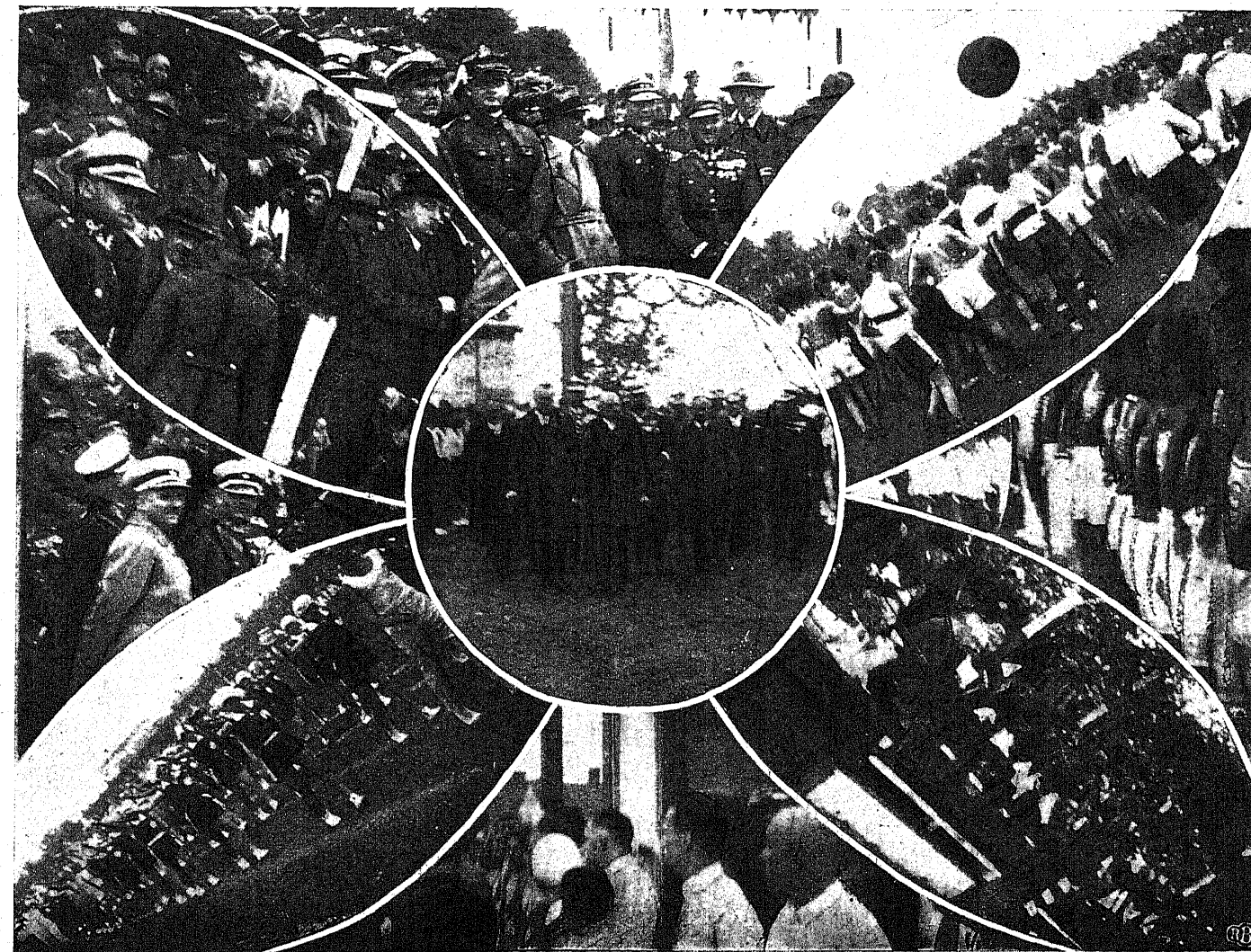
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI

Niedziela, 14 września 1930 roku,

Nr. 38

Rewja sportowa w Łodzi.



W ubiegłą niedzielę, dnia 7 b. m. odbyła się w Łodzi wielka rewja sportowa, dzięki której mieszkańcy mieli wyjątkową sposobność zapoznania się z potężnym w dobie obecnej ruchem wychowania fizycznego, którego idea krzewi się w szerokich kołach młodzieży. Propaganda sportu przemika w najszerze masy. Z zamiłowaniem poświęca się idei wychowania fizycznego również młodzież robotnicza, zorganizowana w klubach fabrycznych. W święcie klubów fabrycznych wziął udział reprezentujący w uroczystości p. Prezydenta Rzplitej minister pracy i opieki społecznej, p. Prystor. Na zdjęciu powyższym widzimy liczne fragmenty uroczystości, a więc powitanie ministra Prystora przez przedstawicieli władz i organizacji sportowych oraz zawody sportowe młodzieży, składające się na imponującą całość rewji, będącej wyrazem tężyzny fizycznej młodzieży polskiej.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.

TEATRALJA.

Plany i zamiary dyr. Schillera.

Na Lwów spada — rzec można — rewolucja teatralna, która ma odwrócić do góry nogami ustalony od szeregu lat, choć niezbyt gorzki pochwały i uznania, porządek w świecie teatralnym. Pod kątem rewolucji właśnie, a nie inaczej, oceniać należy objęcie teatrów lwowskich przez znanego reżysera i teatrologa, p. Leona Schillera, który, opuściwszy Warszawę, wziął na się odpowiedzialny trud przywrócenia dawnego splendoru scenie lwowskiej. Aby poznać i zrozumieć doniosłość „przewrotu” zachodzącego teraz właśnie w teatrach Lwiewo Grodu, dajmy głos p. Schillerowi, który w rozmowie z przedstawicielem „Wiad. Liter.” tak ujął swe cele, plany i zamiary: „Zależać mi będzie — mówił p. Schiller — na współczesnym nieprawdopodobnie zafabrykowanego teatru, który za czasów Pawlikowskiego, a nawet Hellera, wyprzedzał inne sceny polskie pod względem repertuaru i którego realizacje stały na najwyższym poziomie współczesnego smaku. Zrobić z tego teatru wcale fortunnie i na całą Polskę skompromitowanego przez jego powojennych kierowników — teatr z prawdziwego zdarzenia, żywy i interesujący, nie odgrywający dawno zapomnianych w stolicy sztuk, lecz kuszący się o przodowanie w dziedzinie repertuaru i sztuki scenicznej; odrobić ważniejsze zaległości; nadrobić spóźnienia; stworzyć bardziej trwałe podstawy do dalszego rozwoju sceny lwowskiej przez scentrowanie na czas dłuższy celowo dobranej i zadań swych świadomego zespołu aktorskiego; znaleźć równowagę pomiędzy „antykiem”, który ze względów wychowawczych musi być przecięt w teatrze tego typu odświeżany i pokazywany w dzisiejszym oświetleniu; znaleźć równowagę pomiędzy niezbyt wiałą jeszcze dotychczas literaturą przeszłości a utworami naszej doby, pomiędzy produkcją krajową a zagraniczną; w całym tym przymusowym eklektyzmie wykrystalizować wyraźną fizjognomię artystyczną teatru, w chaosie różnych rodnym ideologii, przy koniecznym obiektywizmie zachować bodaj taką postawę, która by nie przynosiła hańby mnie, zespołowi moich współpracowników, która by nie sprawiała nam męki mozołnej i nie budziła w nas niesmaku...” To credo p. Schillera jest bardzo piękne, rozumne i wymowne. Oby tylko, przy zetknięciu się z twardą rzeczywistością, credo to nie zamieniło się w strzępy, tak jak to zwykle bywa — niestety — z zapowiedziami i obietnicami kierowników teatrów w początku sezonu...

Faktem jest przecież, że p. Schiller — jak zwierza się we wspomnianej rozmowie — posiada bardzo rozległy plan repertuarowy, który obejmie m. in. szereg nowości, nigdzie dotychczas niegranych, a przedstawiających się nader interesująco. W trzech teatrach lwowskich (Wielki, Rozmałości i Mały) wypadnie wystawić w sezonie 1930-31 ok. 40 sztuk. W ich liczbie p. Schiller projektuje: „Kordjana”, „Sędziów”, „Dziady”, „Nie-Boską”, „Sen srebrny Salomei”,

„Kłatwę”, „Sędziów”, i „na nowo przemyślane” „Wesele”, ewentualnie „Bazyliśię i ofanu” — Tadeusza Micińskiego; z najnowszej literatury polskiej — J. Przybyszewskiej — „Sprawę Dantona”, F. Goetla — i R. Malczewskiego — „Króla Nikodema”, Conrada — „Zwycięstwo” (w 22-odciskowej dramatyzacji Schillera), Słonimskiego — „Ojca Marnotrawnego” i „Joannę z Nowego Orleanu”, Wasylewskiego — „Wielki świat Ca powic” (rodzaj rewji czy też comedie musicale), Rostworowskiego — „Przeprowadzkę”, Nowaczyńskiego — jedna z najnowszych sztuk, „Księżniczka Brambilla” — W. Horzycy, Hemara — „Deszcz głupstw”, Bromiewskiego — wodewil proletariacki na motywach nestroy'owskich. Poza tem — Żeromski, Żegadłowicz, Rittner, Winawer, Perzyński, J. A. Kisielewski, „na nowo przestudjowani”.

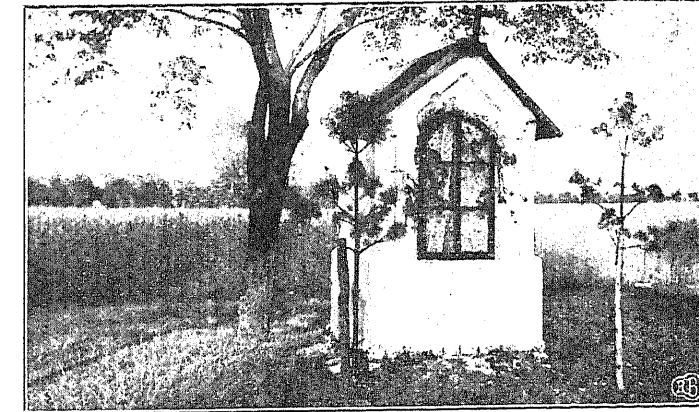
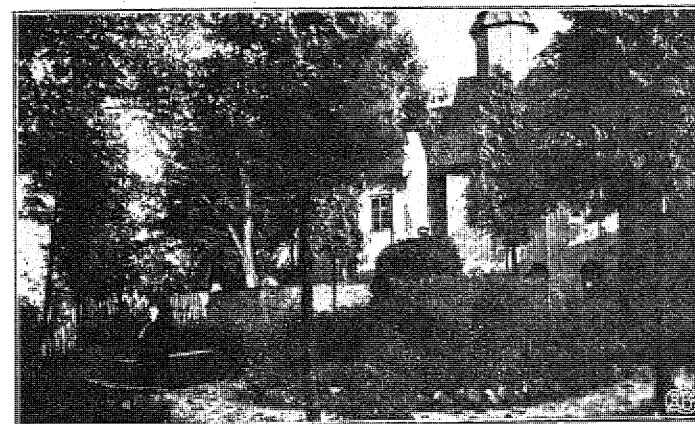
Wśród nowości literackich obcych, projektowanych przez p. Schillera do wystawienia, znajdujemy następujące utwory: Hauptmanna — „Dorota Angermann”, A Zweiga — „Sierżant Grisza”, Kaisera — „Trzy Drogi”, Kasandry — „Pan z lepszego towarzystwa”; nowości Brechta i L. Franka; Dos

Passosa — „Smieciarz”, T. Dreisera — „Głina w ręku garniarza” i „Tragedja amerykańska”, Sinclaira — „Jimmy Higgins”, Ibsena — „Hedda Gabler” lub „Jon Gabriel Borkman” i Strindberga „Eryk 14”; Dostojewskiego — „Bracia Karamazowy” (w inscenizacji Schillera), Tolstoja — „Światło w ciemnościach” Tretiakowa — „Krzykcie, Chiny!” i Oleszy — „Spisek uczuć”. Poza tem t. zw. reportaże: „Sprawa Deyfusa” i „Rok 1914” — Muellera, „Świat nie może odjechać do Londynu” i „Bóg, król i ojczyzna” — I. Anji, oraz przeróbki dwóch starych sztuk francuskich, mianowicie „Kean” — Dumasa i „Frufu” — Meilhaca. W dziedzinie komedji współczesnej: Carpenter, Londale, Fodor, Verneuil, Achard, Guity, Vauvel, Tristan Bernard, Caillavet i Flers. Repertuar retrospektywny (dla młodzieży szkolnej) przedstawi rozwój komedji polskiej od widowisk rybałtowskich do Baluckiego. Sezon nowy rozpoczynają teatry lwowskie: „Halka” (w nowej zupełnie inscenizacji Jarockiego), „Zwycięstwem” Conrada i „Papa - Kawalerem” Carpentera.

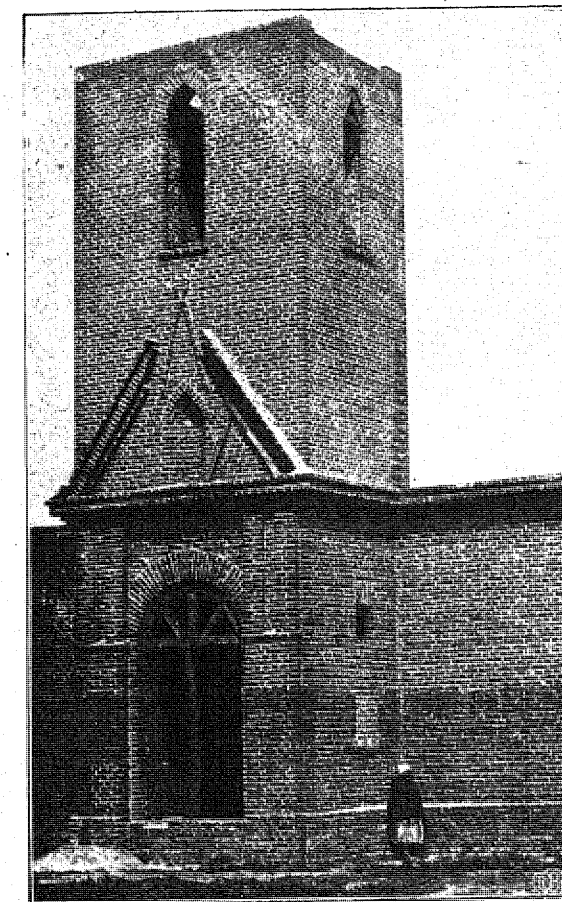
Delta.



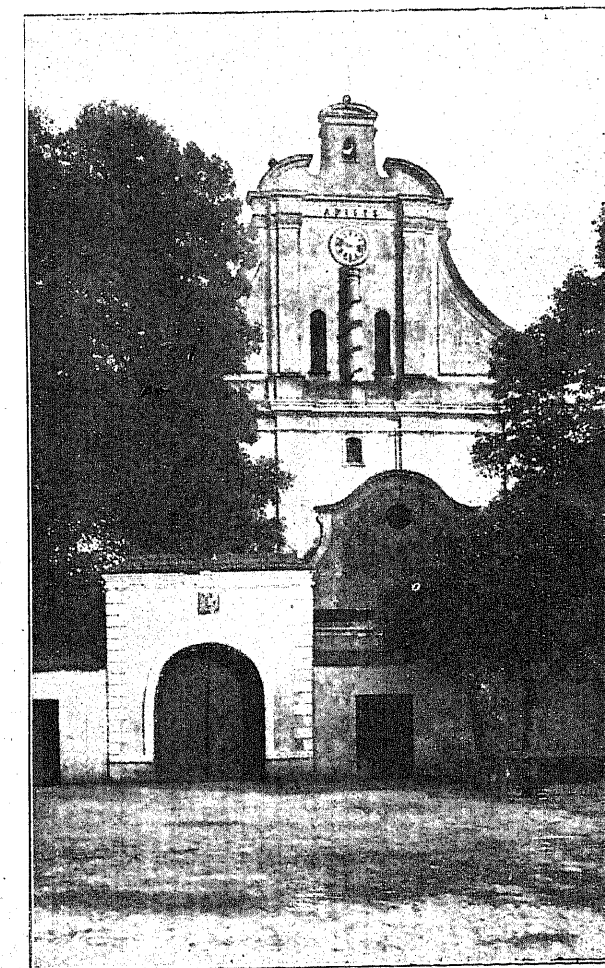
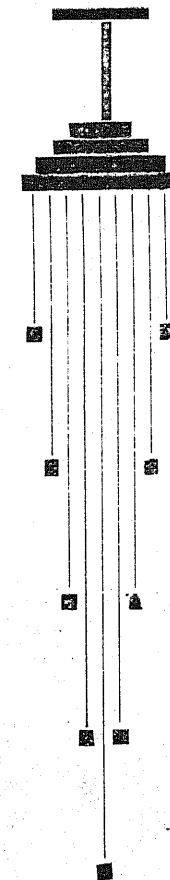
Świetni szermierze sztuki filmowej, Greta Nissen i Charles Farrell, w swych najnowszych, egzotycznych kreacjach, pełnych uroku i czaru. Artysty ci ukażą się na srebrnych ekranach w Łodzi w zbliżającym się sezonie.



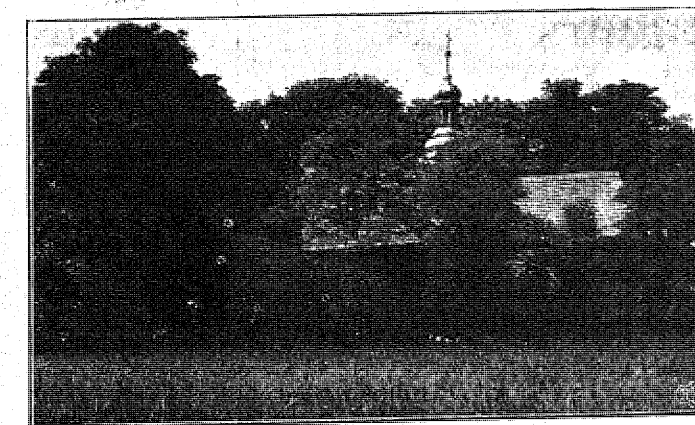
Na ziemiach województwa łódzkiego wznosi się strzelistymi wieżycami wyłoczonemi promieniami słońca wiele zasługujących na uwagę ze względu na swą budowę i przeszłość Przybytków Pańskich. Na zdjęciach powyższych widzimy od strony lewej wirydarz przy plebanji kościoła w Szczawinie, na prawo kapliczka we wsi Gadka



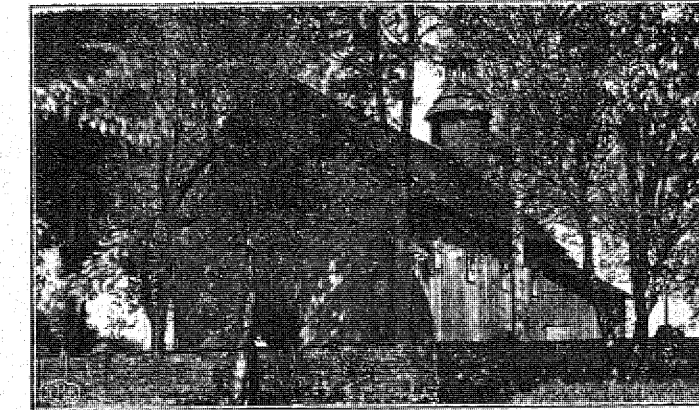
Nowowznoszony kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela w Nowem Ziołnie.



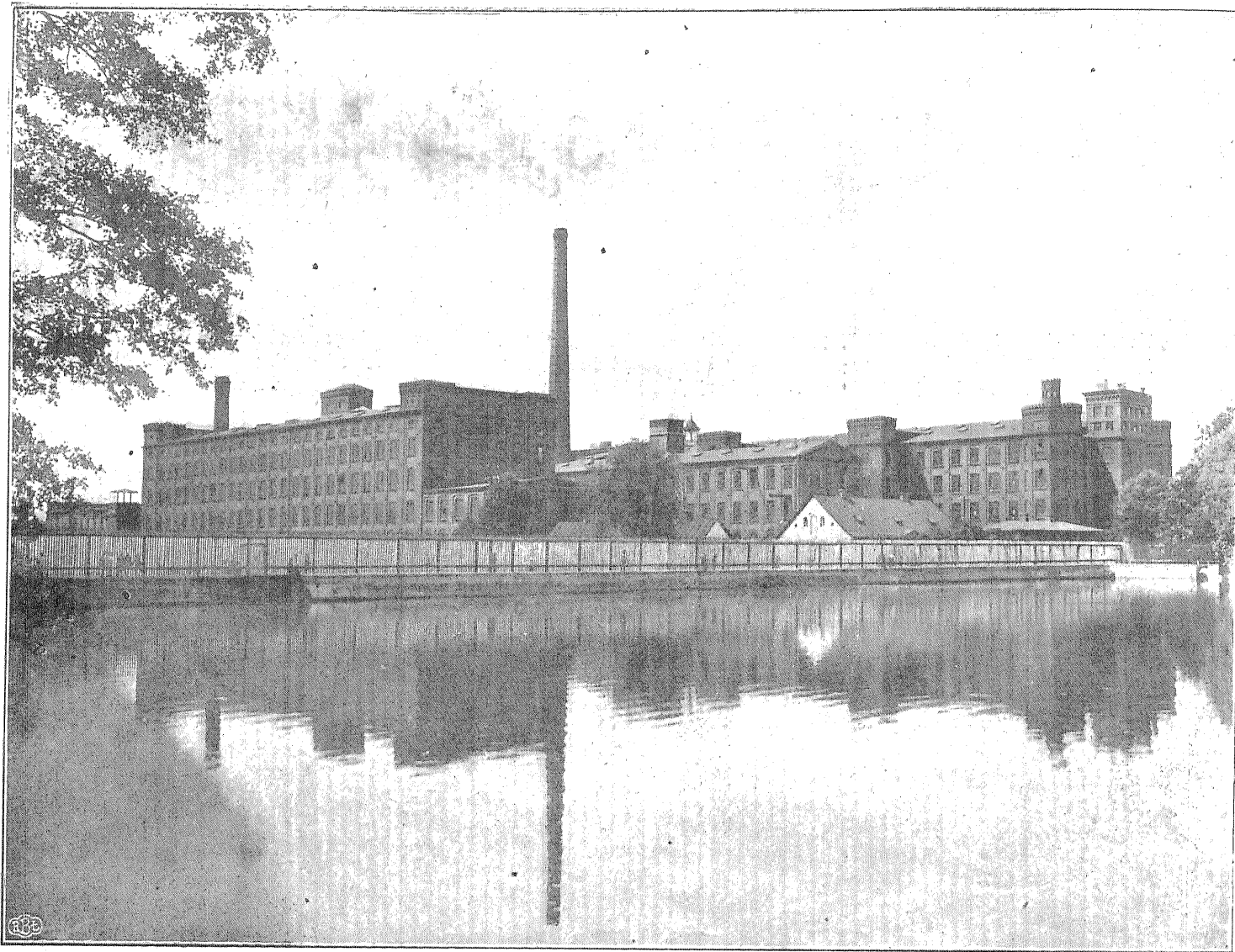
Kościół Podwyższenia św. Krzyża z fundacji Stanisława Walewskiego w Widawie.



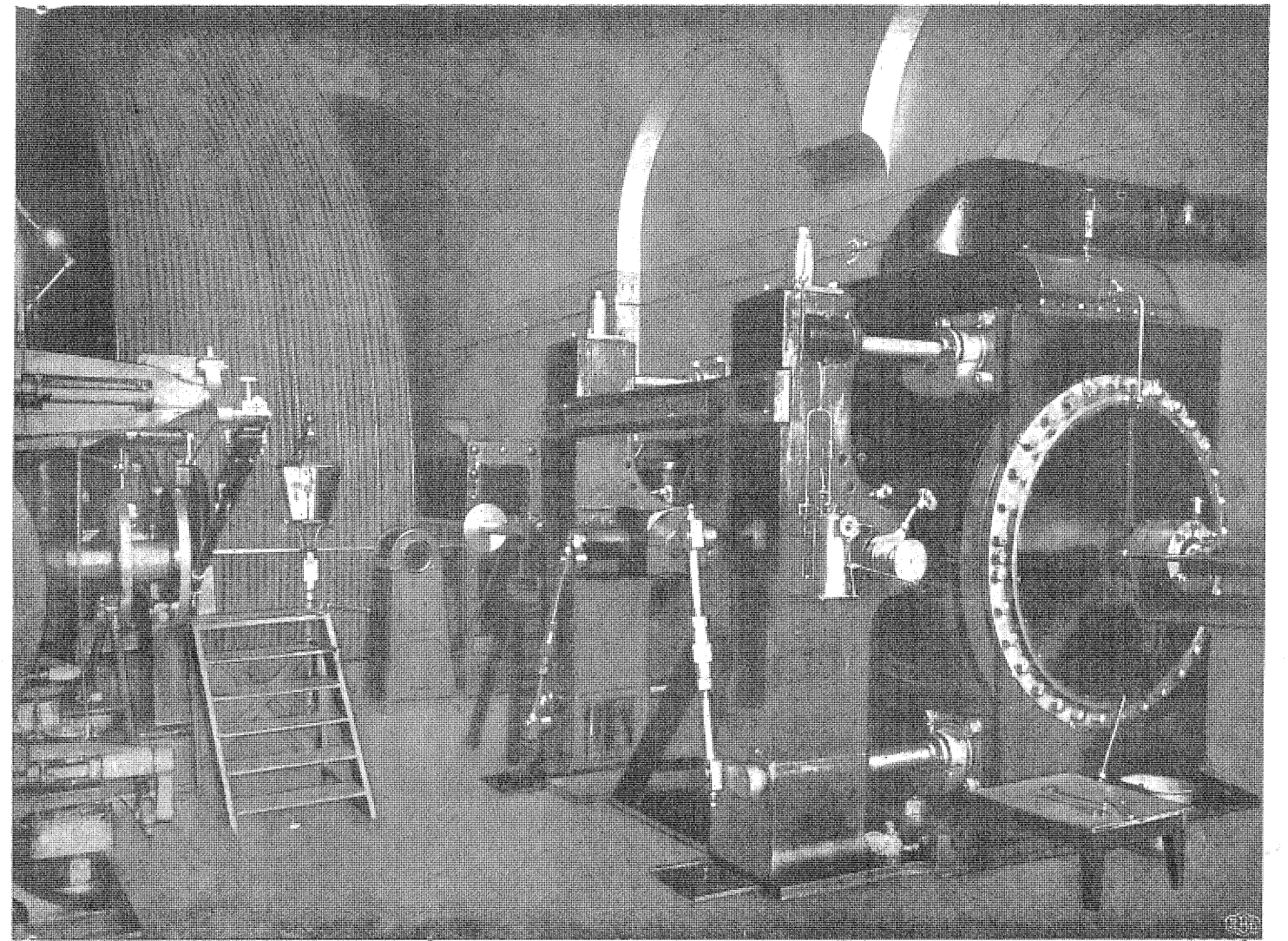
Kościół, położony w prawdziwej oazie drzew w Białej za Zgierzem.



Kościół w Szczawinie, st. kpol. Glinnik. Fot. Włodzimierz Pfeifer



Łódź, stolica polskiej pracy, jak widzimy na zdjęciach powyższych, potęgą swego rozmachu, jazgotem rozkołysanych kół, napędni i transmisji, zwiastuje światu swą teźnyżę życiową i głosi wokół zwycięstwo siły ducha i umysłu. Na zdjęciu powyższem widzimy rozległe zabudowania wielkich zakładów przemysłowych Scheiblera i Grohmana przy ulicy Piotrkowskiej.



Potężne hale maszyn w zakładach przemysłowych Łodzi, to gigantyczne maszyny, nadające miastu specyficzny jego charakter. Stanowią one właściwy nerw pobudzający do tworzenia. Przy udziale rąk ludzkich powstają produkty, z których korzysta cały świat. Powyżej maszyny zakładów I. K. Poznańskiego.



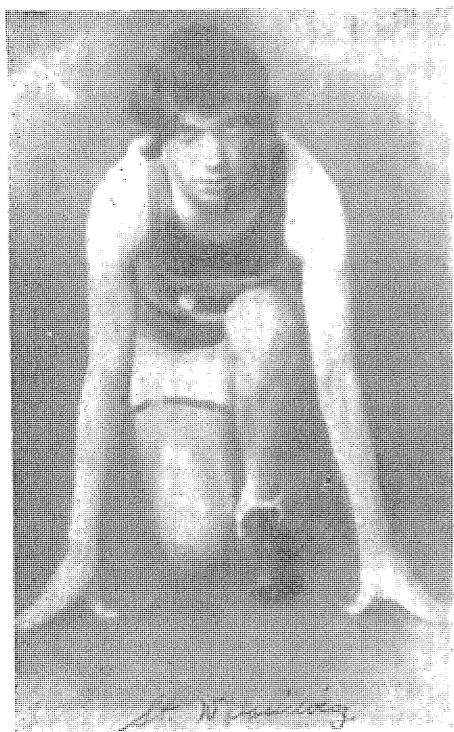
Jeden z najefektowniejszych, obszernych i higienicznych budynków szkolnych w Łodzi, w którym mieści się od szeregu lat Szkoła Handlowa Zgromadzenia Kupców m. Łodzi przy ul. Narutowicza.



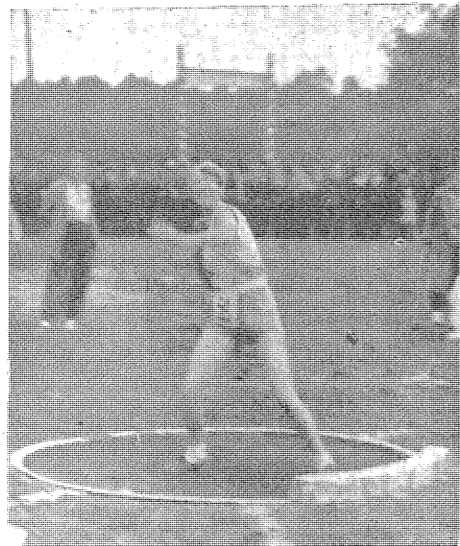
Obok wielkich zakład przemysłowych Łódź posiada wiele budynków nie pozbawionych zalet architektonicznych. Wyżej jeden z pałaców w Łodzi.



Ogólny rzut oka na tereny fabryczne zakładów przemysłowych firmy Krusche i Ender w Pabjanicach.

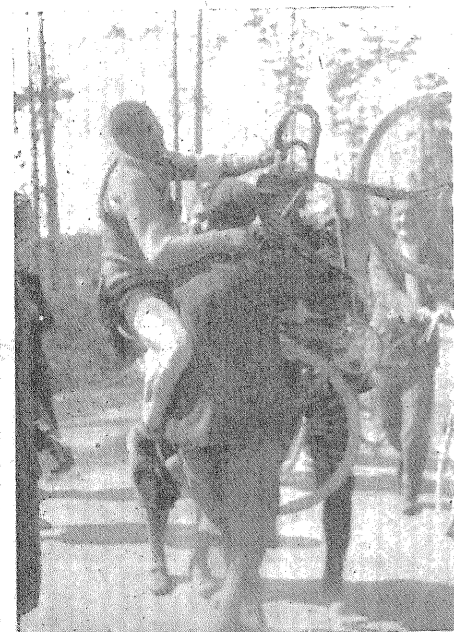


Halina Konopacka, rekordzistka światowa. budzi podziw swa niezwykłą sprawnością na olimpiadzie kobiecej.



Rzuty piłką należą do ćwiczeń poważnych. Budzą one bowiem tężyznę fizyczną. Na zdjęciu nauka rzucania piłką.

Własiewiczówna, nasza chluba sportowa zdobywa triumfy na olimpiadzie w Pradze.



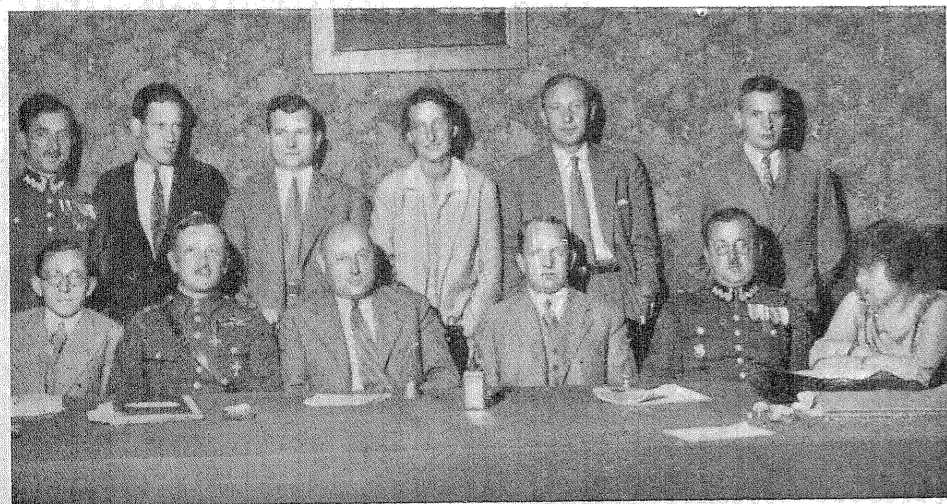
Mistrz kolarstwa polskiego, Józef Stefański.



Janowska, (Pabjanice), reprezentantka i mistrzyni okręgu łódzkiego w skokach wwyż.



Świetna lekkoatletka francuska na taśmie biegu 60 mtr.



Nowy zarząd Polskiego Związku Lekkoatletycznego z obecnym prezesem inż. Znajdowskim na czele.



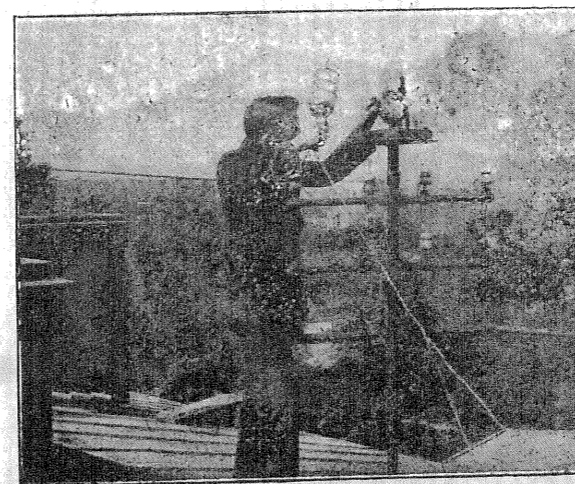
Fragment z olbrzymiego wyścigu kolarskiego „Tour de France“.



Ciekawy typ z filmu p. n. „Na krańcach Sahary“ zrealizowanego przez ekspedycję filmową.



P. Malczewski, kompozytor opery „Sirena“.



Heliograf, przyrząd meteorologiczny obliczający zmianę pogody.



Czarująca Bebe Daniels w swym pierwszym filmie dźwiękowym p. n. „Rio-Rita“.



Piękna idylla japońska, którą ujrzymy na srebrnym ekranie.

Zakończenie sporu.

Od chwili, gdy Katarzyna Hull podniosła się z łóżka, nie przemówiwszy słowa do męża, do owej drugiej chwili, gdy ukłękła przy jego łóżku, całując jego rękę, upłynęła okrągła godzina i trzydzieści trzy minuty.

Była ósma rano i dzień straszliwie zimny. Narzuciwszy suknię, rozpałała ogień. Tom leżał w łóżku, na plecach, zupełnie nieruchomo, podciągawszy koldrę pod sania brodę. Wiedziała, że nie śpi, ponieważ dopiero co wydał jakiś głos: czkawki czy jęku. Oddychał z trudnością, jak zdarzało mu się często, gdy nocą piał za wiele. Była tak rozgniewana na niego, że nawet nie patrzyła w jego stronę. Zarzuciła jakąś płachtę na siebie, otulając głowę i ramiona i wyszła po mleko do śniadania. Nie odezwał się do niej. Zgnębiona i przybita wysunęła się na dwór, na ulicę nędznej dzielnicy, w której zamieszkiwali. W niezdrowym powietrzu wisiała mgła, w której — jak w białym potoku — tonały żelazne słupy u wylotu ulicy. Z obu stron chodników nędzne, natłoczone domy pogrążone były w ciszy i mroku, bo-wiem jest charakterystyczne, że wszystkie prawdziwe dzieci nocy późno wstają z rana. Stara, zbrodnicza, stale zagrożona rozbiórka dzielnica, istniała pomimo wszystko i zła miała opinię. Była przystanią dla zbrodniarzy wszelkiego typu i śmiało rzecz było można, że jeśli który z jej mieszkańców nie był przestępcą, był conajmniej zwolennikiem zbrodni.

W porze późniejszej przebudzenia się dzielnicy nie byłaby się odważyła wyjść w tym nędznym stroju. Zamiast płóciennej płachty byłaby narzuciła porządną chustkę. Kupiła odrobinę mleka i wracając do domu, czuła piekący ból w duszy na myśl o tym nieczystym glazie, który pozostawiła w łóżku. Cierpienie, jakże jej wyrządził, umacniało ją w postanowieniu przedłużenia niezgody. Ślubowała sobie, że nie odezwie się do niego, póki jej nie przeprosi i nie zapewni o poprawie.

Nie było nic dziwnego, że sprzeczka wytknęła o kobiecie, ponieważ żyli z sobą już od lat piętnastu. Chodziło o Birdie, lekkomyślną dziewczkę z tej dzielnicy. Gdyby był ukrywał swoją zdradę, rzecz byłaby do daro-wania, lecz shańbił ją, rozgłaszając o tem wszystkim. Dnia poprzedniego imny mężczyzna, Chris Brown, przewany Dandy, zro-bił mu awanturę przed domem, a Tom, nie zwracając uwagi, że każdym słowem rani prawowitą swą małżonkę, krzychał na całą ulicę, że kochał Birdie i cieszył się jej wza-jemnością, zanim Chris pokusił się zabiegać o jej względy. Zagroził mu i omal nie do-szło do bójk.

Katarzyna Hull podniosła roletę, wpuszczając do pokoju mgliste, przesiąknięte dymem światło dzienne. Nie wymówił słowa. Gdy wchodziła do mieszkania miał oczy otwarte, lecz zamknął je znowu, gdy zbliżyła się do łóżka, jakby tem uniknąć pragnął nawiązania się rozmowy.

Zdjęła marynarkę jego z krzesła i doznała niespodzianki, która od razu zerwała

tamy milczenia. Dolna część ubrania porwana była w strzępy. Gniew — tym razem gniew gospodarniej kobiety tylko — uniósł ją.

— Cóżś zrobił z ubraniami, ty idjoto, żeby zrujnować je w ten sposób? — wrzasnęła na cały głos. Jego milczenie w odpowiedzi doprowadziło ją do wściekłości.

Wtem doznała nowej niespodzianki. Spozstrzegła, że marynarka nie była podarta, lecz przepalona. Cała kieszeń została wyrwana, jakby przez wybuch.

Zrozumiała od razu co to oznaczało. Ostatniej nocy chodziło o prace, a nie o przyjemność. Przy zawodowych swych zajęciach ukrywał broń w tej właśnie szerokiej, wygodnej kieszeni. Strzelał, trzymając broń przy biodrze, jak opisywał jej to nieraz, uważając ten sposób za najskuteczniejszy i najmniej widoczny. Opowiadania o tem zawsze napełniały ją trwogą, a teraz skoro fakt stwierdziła naocznie, była bardziej jeszcze zatrwożona.

Odrzuciwszy ubranie na krzesło, spokojnie otworzyła dolną szufladę łóżka jednej szafy. Nie było rewolweru, choć tutaj trzymał go zawsze, razem z innymi przykreimi narzędziami swego fachu.

Raz jeszcze wzięła marynarkę do ręki, by obejrzeć ją dokładnie i zadrżała, zauważywszy krwawe plamy na wewnętrznej jej stronie. Złożyła ją, zwinęła i wsunęła do szuflady.

— Cóżś zrobił z rewolwerem? — szepnęła, nachylając się nad nim. — Tomie, jestem niespokojna. Gdzie jest twój rewolwer?

— Zabrali mi go, — mruknął, nie otwierając oczu. — To nic nie szkodzi. Daj mi spokój.

Lecz nie mogła już pozostawić go w spokoju. Była przerażona i zasypywała go pytaniami. Czy przeszkodzono im przy robocie? Czy był zmuszony porzucić wszystko i uciec? Czy mu coś groziło?

Uspokoił ją. Nie było o co się troszczyć. Wkońcu zaczęła go namawiać, by usiadł na łóżku i coś zjadł, lecz odmówił.

— Tomie, a może jesteście chory? — Nachyliwszy się nad nim, odgarnęła mu włosy z czoła i poczuła, że było zroszone potem. — Niedohrze się czujesz, stary? Cóżś pił przed robotą? Czy jesteś pewny, że była to czysta wódka, a nie jakieś fałszowane rzeczy? No już dobrze... prześpij się. Ale, jak myślisz, może lepiej będzie, jeśli spale twoją marynarkę?.. Tak zrobię to jeszcze przed południem. A teraz wyjdę na chwilę — zaraz wrócę.

Nowe i odrębne uczucia zażegnały nieporozumienia. Zapomniała o tem, co sobie ślubowała.

Wyszła raz jeszcze, tym razem czysto ubrana. Wszędzie przed otwartymi drzwiami stały grupy ludzi.

— Słyszała pani? Zabito Chrisa? Powia dają, że Birdie była z nim... Znaleźli rewolwer mordercy... Spodziewać się możemy policji każdej chwili...

Słowa te niemal przyprawiły ją o utratę przytomności...

Zabiłeś Chrisa Brown i są na twoim tro-

pie... Będą tutaj lada chwila... Zamknęła drzwi na klucz i usiłowała wpoić weń zrozumienie grożące mu niebezpieczeństwa

— Tomie, ukryj się gdzie, na miłość Boga.

— Daj mi spokój — bąknął znowu.

— Mówię ci, zaraz tutaj będzie policja.

— Niechaj przyjdzie, — rzekł ze stoicyzmem.

— Nie ruszę się z tego powodu.

Błada jak trup, trzęsąc się całym ciałem, szeptała mu swoje perswazje.

Była dziewiąta godzina — jasny dzień. Nie odważyła się niszczyć zdradliwej marynarki w obawie, że przeszkodzić jej mogą w tem zajęciu. Zamknęła drzwi i wyszła do wzburzonych sąsiadów, udając spokój. Przeżywała najcięższe pół godziny w swym życiu.

Aż wreszcie przyszedł.

Sprawa ta przez policję traktowana była bardzo poważnie dla swej tajemniczości. Jak zdarza się często w tym końcu Londynu, zdanzenie miało przypadkowego świadka: jakaś staruszka z okna widziała całą bójkę i upierała się przy swym twierdzeniu, że było dwóch zabitych. Początkowo jeden mężczyzna strzelił do drugiego, a potem dzie-wczyna jakimś sposobem zawiadnęła rewolwerem i strzeliła do mordercy. Gdy uciekała, obaj przeciwnicy leżeli powaleni.

Jednak znaleziono tylko jednego — Chrisa. Była to rzecz niepojęta dla policji. Zjawiała się, silna liczebnie. Obstawiono dzielnicę. Wszyscy mieszkańcy jej wylegli na ulicę; schody do mieszkania Hull'ów były natłoczone i Katarzyna z trudnością powstrzymała ciekawych i policję od wtargnięcia do pokoju.

— Wejść nie można. Mówię przecie, że jest chory. Od trzech dni nie wstawał z łóżka.

— Och! wiemy dobrze, że wychodził minionej nocy! Bez głupstw, proszę! Zobaczycie go musimy.

Odsunęli ją ode drzwi, weszli do pokoju i nachyliłi się nad nim, jak Katarzyna przed trzydziestu pięciu minutami.

— Śpij pan? No, nie sądzę. W każdym razie, przebudź się!

Wtem z okrzykiem grozy wysoki sierżant policji odwinął koldrę i spojrzął na kałużę krwi i blade, nieruchome ręce. Tom nigdy więcej obudzić się nie miał. Powoła utrata krwi spowodowała zgon, a teraz było już po wszystkim. Wiedział od razu, że czeka go śmierć, gdy wrócił do przytomności i zawiółkł się do domu, by umrzeć tak, jak żył, ze stoicyzmem z domieszką jeno goryczy w straszliwych cierpieniach na myśl, że cios śmiertelny zadała mu Birdie, że zginął z jej ręki.

Katarzyna Hull jęknęła i padając na kolana ujęła dłoń Toma, okrywając ją pocałunkami i oblewając łzami.

Tłum. L. M.

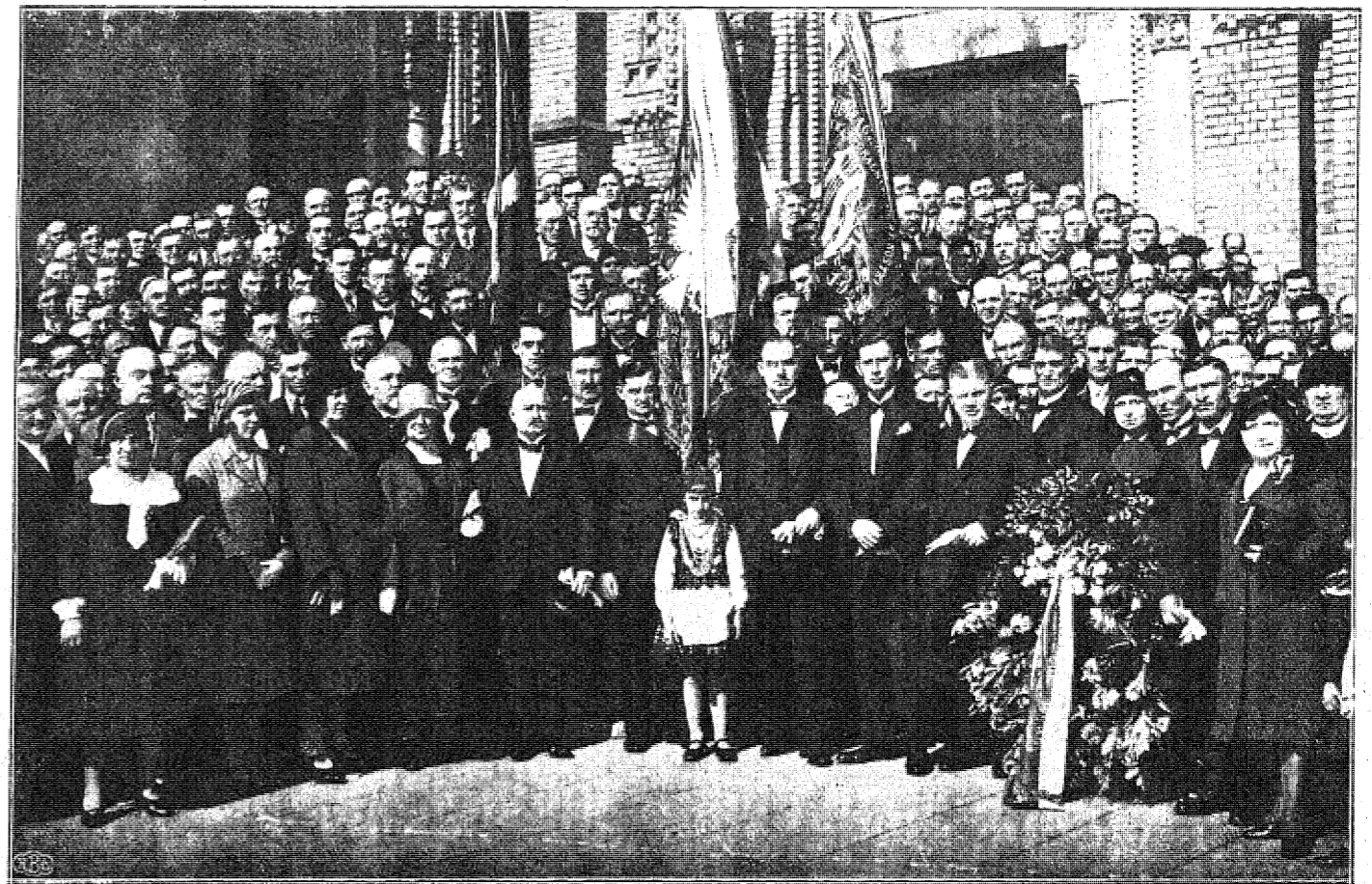


Rok VI.

Niedziela, 21 września 1930 roku.

Nr. 39.

Pod sztandarem Stow. Właścicieli Nieruchomości.



W niedzielę, dnia 14 b. m., odbyła się w Łodzi uroczystość poświęcenia sztandaru Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, Koło w Rokichu. Udział w niej wzięły liczne delegacje Stow. Właścicieli Nieruchomości w Łodzi, z prezesem radnym Szorem na czele. Na zdjęciu widzimy uczestników uroczystości, zebranych przed katedrą po wysłuchaniu na-bieżństwa.